

Za bochen chleba

Dzień 23 września 1786 roku był dla dworu pańskiego w Jordanowie Śląskim, znajdującym się w ówczesnym powiecie niemczańskim, bardzo niepomyślny, wprost tragiczny. W dniu tym dozorca folwarczny Gotfryd Trispel rozdawał przydziały chleba dla dworskiej służby i czeladzi. Cały swój rodzinny deputat pobrała też Anna Rozyna, żona starszego parobka, Daniela Schillgego. Przy okazji wzięła także przydział dla brata. Po czym solidnie obładowana udała się do domu.

Niebawem jednak Schillgowa powróciła z wielkimi pretensjami, że otrzymała jeden chleb za mało. Po pewnym wahaniu dozorca dodał jej brakujący bochen. Aliści po wyjęciu z pieca wszystkich chlebów Trispel stwierdził, że do pełnego rachunku brakuje mu właśnie jednego bochenka.

Dozorca udał się więc do domu Schillgego i oświadczył gospodyni, że prawdopodobnie musiała wziąć jeden chleb za dużo, co zresztą przytrafiało się jej już poprzednio, i to wielokrotnie, ale Schillgowa kategorycznie zaprzeczyła. Wywiązała się ostra sprzeczka. Doszło do wzajemnego popychania się i szarpaniny.

W tym czasie mąż Anny Rozyny znajdował się w pobliskiej stajni. Rozzłoszczona kobieta skoczyła więc do niego po pomoc. Ten jednak, wiedząc dobrze, iż jego małżonka jest tak samo mocna w rękę, jak w języku, szybko jej się pozbył, nie chcąc wtrącać się w głupie babskie sprawy, zwłaszcza że miał dużo pilnej, ciężkiej roboty, a dozorca do osiłków raczej nie należał.

W tej sytuacji Schillgowa jeszcze bardziej rozsierzona szybko zawróciła do chałupy. Tutaj na schodach wiodących do swej izdebki, natknęła się na wychodzącego już Trispel. Na jego widok nerwy mocno rozjuszonych niewiasty nie wytrzymały, niewiele myśląc, Anna Rozyna porwała stojące w sionce solidne nosidło do cebrów i zdzieliła nim w łeb dozorcę. Skóra na czole puściła i twarz nieboraka zalała się krwią.

Taki niespodziewany obrót sprawy zupełnie wytrącił z równowagi psychicznej zazwyczaj niezwykle spokojnie usposobionego, cichego i zimnokrwistego Gotfryda. Niepozorny ten człeczyna po raz pierwszy w życiu tak solidnie oberwał od baby. Ruszyło go. Pochwyił zatem odrzucone przez Schillgowa nieszczęsne nosidło i z całej siły uderzył nim w głowę Annę Rozynę. Cios był – niestety – aż nazbyt skuteczny. Krępa niewiasta zachwiała się, zrobiła zaledwie parę kroków i zwała się niczym kłoda u drzwi swojej biednej izdebki.

Kobieta nie dawała żadnych oznak życia. Ofiarę wniesiono do izby i ułożono na łóżku. Puszczanie krwi z żyły przywróciło jej życie. Cóż z tego, skoro nie wracała świadomość. Nie pomogły zabiegi najlepszych dworskich znawców. Po upływie siedmiu godzin od bezmyślnej bijatyki nieszczęsna niewiasta wydała ostatnie tchnienie.

Anna Rozyna Schillgowa miała dopiero trzydzieści lat. Była matką trójki dzieci – jednego niemowlęcia i dwóch jeszcze nie odchowanych latorośli. Uważano ją za najzdrowszą i najsilniejszą kobietę w całym jordanowskim dworze.

W dniu jej pochowku miejscowy pastor, czcigodny pan Mauersberger, wygłosił od ołtarza do tłumnie zgromadzonych swoich parafian piękną, wzruszającą mowę. Duchowny przypomniał między innymi o tym, że na dzień przed nieszczęśliwym zajściem udzielił nieboszczce przed tym samym ołtarzem komunii świętej, że ta zdrowa niewiasta osierociła trójkę dzieci, a przecież mogła być matką jeszcze znacznie liczniejszej rodziny.

Gotfryd Trispel, zabójca Schillgowej, także był ojcem trojga małych dzieci. Został aresztowany tuż zaraz po swym nieobliczalnym czynie. Nieborak ciągle znajdował się w szoku i w żaden sposób nie mógł przyjść do siebie. Okoliczni ludzie szczerze żalowali tego pocziwego i dotąd dobrego człowieka.

Wkrótce odbył się sąd. Jordanowski dozorca folwarczny poniósł zasłużoną karę. A w tamtych czasach za zabicie człowieka był właściwie jeden rodzaj kary – śmierć.